



S. Krystyna od Krzyża OCD

# Całe moje życie

Poznań 2014

© Copyright by s. Krystyna od Krzyża  
All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania  
danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie za wyłącznym  
zezwoleнием właściciela praw autorskich.

Redakcja: Siostry Karmelitanki Bose, Krzysztof Kozłowski  
Projekt okładki: Agnieszka Dolska  
Reprodukcje zdjęć: Krzysztof Kozłowski


ISBN 978-83-64430-11-4

Wydawnictwo Flos Carmeli  
ul. Działowa 25; 61-747 Poznań  
tel.: 61 856 08 34 | fax: 61 856 09 47  
[www.floscarmeli.pl](http://www.floscarmeli.pl)  
e-mail: [wydawnictwo@floscarmeli.poznan.pl](mailto:wydawnictwo@floscarmeli.poznan.pl)



*Bóg daje mi wszystkie łaski, których mi potrzeba.  
Aż nie chce mi się wierzyć, że tak z delikatnością,  
ojcowską miłością i Bożym taktem,  
pokierował moim życiem.  
A wszystko co tu napisałam,  
to zdaje się całe moje życie...*



A decorative graphic element in the top right corner of the page, featuring a stylized, light-colored floral or scrollwork design with several leaves and a curved stem.

**N**a początku czerwca Rosjanie podali do publicznej wiadomości, że ci uciekinierzy, którzy przybyli zza Bugu, mogą wracać na Zachód, to znaczy do tej części Polski, która była zajęta przez Niemców. Ojciec mówił do nas: „Jak długo potrwa wojna? Lepiej wrócić i zdać się na wolę Bożą. Zobaczmy, co będzie”. Podał więc nasze nazwisko i nasz adres. Nie wiedzieliśmy wtedy, że to była pułapka. Kilka dni później – 28 czerwca 1940 roku, w nocy zbudziło nas gwałtowne dobijanie się do drzwi. To było NKWD. Przyszli po nas. Powiedzieli nam po rosyjsku, żebyśmy zabrali swoje rzeczy i poszli za nimi. Nie byli brutalni, jednak z ich twarzy nie można było wywnioskować, co tak naprawdę myśleli; czy może nam współczuli, czy nas nienawidzili. Twarze ich były zupełnie jak maski – nie było widać w nich żadnego uczucia. Kiedy

ojciec zapytał: „Gdzie wy nas zabieracie?”, jeden powiedział: „Chcieliście jechać do Niemców – to was do Niemców zabieramy, do Germanii”. Zaczekali chwilę, abysmy się spakowali, pozwolili nam zabrać trochę dobytku. Mieliśmy szczęście, bo podobno w innych przypadkach to nawet nie czekali. My mieliśmy naturalnie wszystkie rzeczy, które wzięliśmy na wakacje. Nie było wśród nich ciepłej odzieży, tylko wszystko na lato. Mieliśmy taki duży kosz i tam wpakowaliśmy wszystko – do tego kosza.

Kazali nam wsiadać do ciężarówki. Razem z nami siedzieli żołnierze z rewolwerami. W końcu ruszyliśmy. Samochód podskakiwał na nierównościach. Słysząc było szczekanie psów. „Ciekawe, co z nami będzie?” – dało się słyszeć szepty. Zawieźli nas na dworzec, gdzie już czekały bardzo długie pociągi. Dziesiątki wagonów dla bydła, szczipionych z sobą, jeden za drugim. Z czasem perony wypełniły się ludźmi, znajomymi, krewnymi, którzy przyszli, żeby pożegnać swoich bliskich. Niektórzy chcieli pojechać z nami, lecz Rosjanie brali tylko tych, których mieli na liście. Moja starsza siostra była nieoficjalnie zaręczona.

Jej narzeczony był lotnikiem. Chciał z nami pojechać, ale mu nie pozwolono. Jakże wiele serc było wówczas rozdartych, przepołowionych rozpaczą, myślą, że swych bliskich pewnie się już nie zobaczy, może po latach, kiedyś, jak Bóg da...

Wagony, po kolei, zapełniały się ludźmi. Dorosli, zaspane dzieci, staruszkowie. Rodziny, jedna po drugiej, wrzucały do nich bagaże, pomagali sobie, wśród szlochów, strachu wymalowanego na twarzach, odbiciach niepewności widocznych w głębi oczu. Ojcowie pocieszali, że będzie dobrze, damy radę, matki tuliły do siebie dzieci. Weszliśmy do jednego z wagonów. Jego wnętrze było bardzo brudne i zawuszone. Nie były oczyszczone po tych, którzy w nich poprzednio byli przewożeni. Umocowanych kilka desek, miało służyć za prycze, na których trzeba było spać. W podłodze była dziura – to nasza ubikacja. Dwa małe okienka pod dachem służyły za wentylację. Kiedy już wagon był zapełniony (było nas 30 osób, może więcej), zaryglowali drzwi. Głuchy chrobot i mrok. W ciemności niewiele było widać. Jednak czuć było każdą drobiną ciała,

że nasz wagon wypełnił strach. Zaryglowali drzwi i to był koniec.

Staliśmy w tych wagonach prawie przez cały dzień. O ile pamiętam, byłam jedynym dzieckiem w naszym wagonie. Większość to byli dorośli. Było też kilka żydowskich rodzin. Niektórzy Żydzi pojechali wcześniej do Rosji, myśląc że tam będzie raj. Kiedy zobaczyli, jak tam naprawdę jest, że nie ma tam żadnego raju, powrócili do Polski. Teraz zabierali ich znowu, ale przymusowo. Dzień, w którym nas wywozili, 29 czerwca – świętych Piotra i Pawła. To było wtedy święto obowiązkowe, jak niedziela. Cały dzień staliśmy na stacji i słyszeliśmy dzwony z kościołów wzywające wiernych na mszę świętą.

Pod wieczór, a może było to raczej późne popołudnie, poczułam gwałtowne szarpnięcie. Pociąg ruszył. Nigdy tego nie zapomnę... Z jednej strony lęk, tak naturalny dla człowieka zagubionego, niewiedzącego nic o jutrzejszym dniu, zaś z drugiej niezwykle uniesienie, kiedy spontanicznie z wszystkich wagonów popłynęła pieśń. Coraz głośniejszy, jakby głosy przekrzykiwały się ze stukotem kół, szumem powietrza, jakby chciały udowodnić, że



póki my żyjemy, jest Polska, jest nasza godność – zatopione w wierze naszych ojców. Ludzie śpiewali: „Pod Twą obronę, Ojczyzna na niebie...”. Strach, wzruszenie i my. Nasz Ojciec, Bóg. Ludzie oddawali się pod opiekę Bożą. Wielu z nich nigdy już nie wróciło, ale ta wiara była prawdziwa. Do dziś jest w moim sercu, jest piękna. Nawet Żydzi przyłączyli się do tej pieśni. Śpiewali z nami. A pociąg nabierał prędkości. Szybciej, szybciej, szybciej... Gdzie nas wiozą? Wtedy nie wiedział nikt.

Od tego momentu miarowe takty wystukiwane przez koła wagonów wypełniły chwile ciszy, długie noce, dni, wieczory bez widoku zachodzącego słońca. Naszym jedynym oknem na świat stały się niewielkie okienka pod dachem. Małutkie nadzieje, przez które czasami wpadał do środka promień słońca. Kiedy chciałam popatrzeć na zewnętrzny świat, wspinałam się na jedną z pryczy albo dorośli podnosili mnie, żebym mogła wyjrzeć i pooddychać trochę świeżym powietrzem. Jednak niewiele widziałam.

Zatrzymaliśmy się raz dziennie. Było bardzo gorąco, jak to w czerwcu. Dachy wagonów były

metalowe, bardzo się rozgrzewały, a żołnierze nie otwierali drzwi. Tylko jeden raz na dzień, kiedy przynosili nam posiłki, jakąś kaszę czy czasem zupę, gorącą wodę i trochę chleba. Większość ludzi miała jeszcze trochę jedzenia, które wzięli z sobą. Staraliśmy się utrzymywać czystość jak tylko to było możliwe. Wagony – jak wspomniałam – były bardzo zapaskudzone. Po raz pierwszy w moim życiu widziałam wszy. Pamiętam odrazę na twarzy mojej mamusi, jak to zobaczyła – zawsze bardzo dbała o czystość.

Na ogół nie było kłótni. Nie pamiętam, żeby były jakieś nieprzyjemne sprawy, chociaż wyczuwało się wielkie napięcie. Tatuś po drodze uczył mnie geografii i historii. Pewnie po to, żeby odciągnąć moją uwagę od rzeczywistości, w jakiej się znajdowaliśmy, i zająć czymś innym. Inni też się przysłuchiwali. Kiedy przejeżdżaliśmy przez Sarny (przed wojną było to na granicy między Polską a Rosją), tatuś podniósł mnie do jednego z okienek i powiedział: „Popatrz, może po raz ostatni na swoją ojczyznę”. Nie pamiętam, czy wtedy sobie uświadomiłam, że może już nigdy Polski nie zobaczę. Ale moi rodzice byli tacy spo-

kojni i nie pamiętam, żeby narzekali. Wierzyli, że Pan Bóg się nami zaopiekuje. Nie było paniki ani strachu i ten spokój mnie się też chyba udzielił. Nie pamiętam żebym płakała albo szlochała. Podróż trwała 2 tygodnie. Staraliśmy się odgrodzić kocami tę ubikację, żeby zapewnić trochę intymności – mężczyźni i kobiety byli oczywiście razem. Naturalnie nie można się było myć ani kąpać. W ciągu tych dwóch tygodni tylko twarz można było umyć, bo dużo wody nam nie dawali. Z początku, tak jak pisałam wcześniej, drzwi otwierano tylko wtedy, kiedy przynoszono coś do jedzenia. Później, kiedy przejechaliśmy już przez Ural, drzwi były otwierane trochę częściej, nawet wtedy, kiedy pociąg był w biegu. Rosjanie nie bali się już, że ktoś ucieknie. Kiedy dojechaliśmy do Nowosybirsk – duża stacja – po raz pierwszy pozwolili nam wyjść na peron, żeby wyprostować nogi i odetchnąć świeżym powietrzem. Tam tatuś kupił mi lody. To było coś nadzwyczajnego! Dawno lodów nie jadłam, a było bardzo gorąco. Postój był jednak krótki i pojechaliśmy dalej.



Z mamą, jesień 1938 rok



W końcu dojechaliśmy do małej stacji, która nazywała się Tajga. I rzeczywiście była otoczona tajgą – olbrzymimi lasami syberyjskimi. To była mała wioska położona nad brzegiem rzeki Ob. Rzeka ta była tak szeroka, że prawie nie było widać drugiego brzegu, jedynie rozmazane kontury. Tam nas wyładowali z pociągów i przeprowadzili na statek parowy. Popłynęliśmy więc dalej rzeką Ob, na północ. Podróż trwała jeszcze tydzień.

Zawsze byłam wrażliwa na piękno natury; pamiętam do dziś piękno tej rzeki i przepiękne widoki po drodze. Spaliśmy na pokładzie, bo było bardzo gorąco. Była tam jedna rodzina żydowska – chasydzi, bardzo ortodoksyjni Żydzi. Rabin codziennie modlił się w swoim szalu i to mnie bardzo intrygowało. Zawsze mu się z uwagą przyglądałam.

W końcu dopłynęliśmy do jakiejś małej wioski i tam kazali nam wysiąść. Spędziliśmy noc w szkole. Cała ludność tej wioski wyszła nam na spotkanie. Dla nich to była sensacja – zobaczyć cudzoziemców. Pamiętam małą rosyjską dziewczynkę w moim wieku. Chciała się popisać i zaczęła śpiewać jakąś rosyjską piosenkę, a głos miała rzeczywiście śliczny.

Byłam wtedy chuda i nosiłam dwa dosyć długie warkocze. Kiedy mamusia zawołała „Krysiu!”, rosyjskie dzieci zaczęły się śmiać. Później dopiero zrozumiałam, dlaczego się śmiały. „Kryso” po rosyjsku znaczy „szczur”, a ja mogłam wyglądać jak mały szczurek z tymi warkoczami i długimi nogami.

Na drugi dzień rano wsadzili nas na ciężarówkę i przewieźli w głąb tajgi. Umieścili nas w prawdziwym obozie koncentracyjnym, z drutem kolczastym, z wieżami, z psami. Dla więźniów przygotowane były drewniane baraki. Być może była to Workuta – znany obóz koncentracyjny.

Nie wiem, jaki był tego powód, ale naszej rodzinie dali taką małą chatkę, która wcześniej

służyła za więzienie. Mieliśmy w związku z tym trochę radości, bo cała rodzina mogła być razem. Byliśmy jedyną rodziną, której na to pozwolono. Mogliśmy również chodzić do lasu na grzyby i jagody. Do jedzenia dawali nam tylko chleb w niewystarczającej ilości, więc trzeba było jakoś to uzupełniać. Mężczyźni musieli pracować w lesie – ścinali drzewa. Mój ojciec nie mógł pracować w lesie, bo był inwalidą wojennym z I wojny światowej. Miał niesprawną lewą rękę. Na pewno to było powodem, że mogliśmy zostać razem, bo bardzo często rodziny były rozdzielane. Mężczyzn zabierali do pracy, a kobiety wysyłali gdzieś indziej z dziećmi. Ale my jakoś mogliśmy się trzymać razem. Nasza czwórka. Pozwalali nam wtedy wychodzić, bo nikt stamtąd nie mógł już uciec. Tajga ciągnęła się przecież przez tysiące, tysiące kilometrów. Jak ktoś się tam zgubił, to już nie można było go odnaleźć. Były tam przecież dzikie zwierzęta: wilki, niedźwiedzie.

Kiedyś przyszliśmy nad malowniczo położone jezioro. Była jesień i piękne liście drzew – czerwone, pomarańczowe, żółte – odbijały się w wodzie. Nad jeziorem było kilka baraków.

To musiał być jakiś stary obóz koncentracyjny. Weszliśmy do nich. To, co zobaczyliśmy, było wrzuszające i wstrząsające zarazem. Na belkach wyryto nazwiska, dużo polskich nazwisk. Zrobili to chyba zesłańcy za cara – z poprzedniego stulecia. Różne napisy tam były, po polsku, na przykład taki: „Jeżeli ktoś tutaj przyjdzie, to dajcie znać mojej rodzinie, że jestem tutaj” nazwisko i data – tysiąc osiemset któryś tam rok. Nie wiem, co się z nimi stało, z tymi wszystkimi ludźmi. Czytanie tych wszystkich napisów było naprawdę niezwykle wrzuszające.

Inne doświadczenie, które pamiętam, to pożar lasu. Na szczęście był wypalony szeroki pas wokół obozu i nic tam nie rosło. Nie było silnego wiatru i płomienie nie dosięgły obozu. Inaczej pewnie byśmy spłonęli. Wszystkie baraki były drewniane – wszystko było z drewna. Pożar trwał przez kilka dni, a dym był tak gęsty, że nie można było oddychać. Słońce było czerwone, a księżyc ledwie widoczny. Modliliśmy się tylko o to, żeby te płomienie nie dotarły do obozu. Pan Bóg wysłuchał naszych modlitw, ale przeżycia były dramatyczne.



W obozie byliśmy do początku jesieni następnego roku. Chyba pod koniec września, albo na początku października, zabrano ciężarówkami kilka polskich rodzin z dziećmi. Naszą rodzinę też zawieźli do jakiejś małej wioski, załadowali na parowiec i popłynęliśmy do Tomska<sup>1</sup>, a następnie do wioski o nazwie Kurlejek. Stamtąd wieźli nas ciężarówkami jeszcze około 10 km. Zawieźli nas na tak zwaną „dziesiątkę”, bo to było 10 km od tej wioski i 30 kilometrów od Tomska. Były tam baraki, ale nie było już kolczastego drutu, mogliśmy więc swobodnie chodzić do lasu i do wioski. Powiedzieli nam, że mamy się tutaj zadomowić, że będziemy budować tu miasto i że będzie nam tutaj dobrze i tak dalej. Mężczyźni musieli zaraz zacząć pracować w lesie. Ścinać drzewa. Kobiety (również moja siostra) musiały długimi nożami zdzierać korę z tych ściętych drzew. To była ciężka praca. Moja siostra uszkodziła sobie kręgosłup i w późniejszym czasie często miała bóle w krzyżu. Studiowała ona przed

---

<sup>1</sup> Tomsk – miasto w Rosji położone na Nizinie Zachodniosyberyjskiej

wojną filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim i nie była przyzwyczajona do takiej ciężkiej pracy.

Według tego, ile się w ciągu dnia wyrobiło normy, dostawało się przydział chleba. Ten chleb był tak źle wypieczony, że trzeba było z niego robić kulki i połykać, bo inaczej przyklejał się do zębów i nie był zdrowy dla żołądka. W wiosce był sklep. Czasami można było kupić w nim suszone ryby. Chociaż tak naprawdę za pieniądze niewiele można było kupić. Mieliśmy jeszcze trochę biżuterii i zegarki, które zamienialiśmy na żywność. Często jednak brakowało nam jedzenia. Nie było też cukru ani masła, ani jajek. Czasem można było dostać troszkę sadła.

Kupiliśmy sobie kufajki na zimę i walonki na nogi (to takie grube kurtki i długie filcowe buty). Mróz był bardzo duży. Oddech zamarzał przy nozdrzach i przy ustach. Było również bardzo dużo śniegu. Czasem rano musieli odkopywać baraki, w których mieszkaliśmy, bo przez noc napadało tyle śniegu, że nie mogliśmy otworzyć drzwi. Tam, gdzie jeździły traktory, droga wyglądała niczym wąwóz, gdyż po obu stronach drogi wznosiły się kilkumetrowe ściany śniegu.

Niezwykle ważnym okresem okazało się późne lato oraz wczesna jesień. Właśnie wtedy mama suszyła dużo grzybów, robiła sok z borówek i z różnych jagód – w lesie było dużo owoców. Te zapasy pozwalały jakoś przetrwać zimę. Jednak, aby przeżyć na Syberii najzimniejsze dni, zgromadzenie zapasów żywności nie było jedynym zmartwieniem. Każdy musiał narąbać sobie drewna na zimę. Jedynym źródłem ciepła w barakach były piece do ogrzewania. Drzew, na szczęście, nie brakowało.

Miałam wtedy 12 lat i tamtejsi komuniści bardzo chcieli, wręcz nalegali, żebym chodziła do prowadzonej przez nich w wiosce szkoły. Zawsze się wymawiałam – a wtedy mówiłam już dobrze po rosyjsku – że nie mam butów, co zresztą było prawdą. Przede wszystkim jednak, to nie chciałam, żeby mnie uczyli komunizmu.

W obozie rządził komendant. Był bardzo nieokrzesanym człowiekiem, nieprzyjemnym i ordynarnym, chociaż nie był okrutny. Kiedyś uderzył w twarz jednego z żydowskich chłopców. Bądź co bądź był sprowokowany, bo ten chłopiec nazwał go „sobaką”, to znaczy psem, a to jest bardzo

obraźliwe po rosyjsku. Żydzi napisali do Moskwy skargę na tego komendanta, a wtedy mieli jeszcze dosyć dużo wpływów. Po tej skardze komendanta usunięto i aresztowano. Przesiedział kilka tygodni w więzieniu w Tomsku. Przydzielili nam więc innego komendanta, który był dobrym człowiekiem. Był komunistą, ale starał się nam pomóc. Pod koniec zimy przenieśli nas i jeszcze jedną polską rodzinę z dziećmi do samej wioski – Kurlejek. Tam razem zamieszkaliśmy na skraju wioski, w drewnianej chatce. Chatka była zapluskwiona. Nie można było spać w nocy, bo jak tylko się zgasiło światło – a mieliśmy parafinową lampę – to zaraz pluskwy wychodziły i gryzły. Całe ściany pokryte były tymi pluskwami. To było okropne!

Moja siostra rozpoczęła pracę w kantynie. Chciała wspomóc rodziców, jednak nie trwało to zbyt długo. Kiedyś chciała z pieca zdjąć duży gar z kaszą, a ponieważ był dla niej za ciężki, część się wylała na nią i oparzyła szyję i przód ciała. Do dzisiaj ma blizny. Opowiadała mi wiele lat później, że wtedy „zakochał” się w niej

kierownik tej kantyny, a ponieważ nie chciała mieć z nim nic do czynienia, wyrzucił ją z pracy.

Kiedyś ojciec zabrał nas, gdy się już ściemniło, na zewnątrz. Wtedy po raz pierwszy widziałam aurorę borealis, to jest zorzę polarną. To było bardzo piękne. Wyglądało jakby aksamitne kotary, w kolorach liliowych i zielonych, przesuwały się po niebie.

Bardzo lubiłam chodzić sama na spacery po lesie. Kiedyś zobaczyłam takie małe stworzonko – siedziało na pniu – to był gronostaj. Piękne stworzenie, byłam nim zachwycona. Były tam też węże, podobno jadowite. Czarnego z żółtym ogonem widziałam raz leżącego na pniu.

W wiosce zaprzyjaźniłam się z rosyjskimi dziećmi. Mieszkał tam również stary Rosjanin. Myśmy go nazywali „dzieduszka” – dziadek. Był bardzo czytany człowiekiem, bardzo inteligentnym. On i jego żona, przed rewolucją, pracowali w pałacu cara i za to oczywiście zostali zesłani na Sybir. Jego żona już umarła i był sam. Nie wolno mu było wracać do europejskiej części Rosji, musiał pozostać na Sybirze. Bardzo nas polubił i zaprzyjaźnił się z nami. Wiele nam opowiadał,

ale zawsze patrzył – sprawdzał czy drzwi i okna były zamknięte – żeby nikt nie podsłuchiwał. Pożyczał mi rosyjską literaturę – książki Tołstoja, Puszkina, Lermontowa – to wszystko czytałam po rosyjsku.

W Kurlejkju mieszkaliśmy przez kilka miesięcy. Na wiosnę dowiedzieliśmy się, że na południu Rosji tworzy się polskie wojsko i Stalin ogłosił amnestię<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> 14 sierpnia 1941 roku podpisano umowę wojskową, która dała podstawę do rozpoczęcia formowania Armii Polskiej w ZSRR pod dowództwem generała Andersa. Na mocy tej umowy Stalin udzielił amnestii obywatelom Rzeczypospolitej zesłanym, uwięzionym w więzieniach śledczych NKWD i deportowanym do obozów koncentracyjnych.





Moi rodzice